

NIEDZIELA

TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY

Nr. 17

Katowice, dnia 4-go maja

1930

W imię † Ojca i † Syna i † Ducha Świętego. Amen.
Na większą cześć i chwałę Panu Bogu Wszechmogącemu w Trójcy świętej jedynemu, a nam na zbawienny dusz naszych pożytek, czyta Kościół Boży na

niedziele drugą po Wielkanocy

LEKCJE

z listu św. Piotra Apostoła r. II, w. 21—25.

Najmilsi! Chrystus ucierpiał za nas, zostawując wam przykład, abyście naśladowali ślady Jego. Który grzechu nie uczynił, ani znaleziona była zdrada w uszach Jego; który, gdy mu złorzeczono, nie złorzeczył; gdy cierpiał, nie groził, lecz się poddawał niesprawiedliwie sądzącemu; który sam na ciele swem grzechy nasze nosił na drzewie, abyśmy umarliśmy grzechom, żyli sprawiedliwości; którego sinością jesteście uleczeni. Boście byli jako owce błądzące, ale teraz jesteście nawróceni do Pasterza i Biskupa dusz waszych.

EWANGELJA

u św. Jana, rozdział X., wiersz 11—16.

W on czas: Rzekł Jezus do faryzeuszów: Jam jest pasterz dobry. Dobry pasterz życie własne daje za owce swoje. Lecz najemnik, i kto nie jest pasterzem, do którego owce nie należą, na widok zbliżającego się wilka porzuca owce i ucieka; wilk zaś porywa i rozprasa owce. Najemnik tedy ucieka, bo jest najemnikiem i nie zależy mu na owcach. Jam jest pasterz dobry, i znam Swoje, i one Mnie znają; podobnie, jak Mnie zna Ojciec, a Ja znam Ojca. To też i życie Swoje kładę za owce Swoje. Mam ja też inne owce, które nie są z tej owczarni — i te muszę przyprowadzić; one także słuchać będą głosu Mego, i stanie się jedna owczarnia, i jeden pasterz.

NAUKA.

W dzisiejszej ewangelji ogarnia Pan Jezus jako pasterz dobry spojrzeniem troskliwym świat cały i spostrzega, że jeszcze niewszystkie owieczki należące do owczarni jego, którą jest Kościół święty, rzymsko-katolicki, co gorsza, że w dobie obecnej liczne wilki porywają mu owce, do owczarni jego należące.

Do tych wilków przynależać można w czasach obecnych rozmaitych sekciarzy, mianowicie zaś wyślaników „kościół narodowy“. Wyzyskując dobroduszość ludu polskiego, brak gruntownych wiadomości katechizmowych i dzisiejszą biedę jego materialną, wmawiają mu oni, że ich nowa wiara jest także katolicka, z tą tylko różnicą, iż w niej odprawia się wszystko po polsku i bezpłatnie, gdy w dawnej ojców naszych wierze księża odprawiają wszystko po łacinie — i za pieniądze. Jest to fałsz wierutny, — albowiem „kościół narodowy“ nie jest ani nawet katolickim ani nawet chrześcijańskim. Katolicki znaczy tyle, co powszechny. Powszechnym byłby on, gdyby ogarniał wszystkie narody. Tymczasem znajduje on zwolenników tylko wśród ludu polskiego. Inne narody znać go nie chcą. Tem mniej prawa ma on do tego, aby

nazywać się rzymsko - katolickim, gdyż nie uznaje zwierzchnictwa papieża w Rzymie, lecz przeciwnie, nienawidzi Ojca św. i bryzga na niego jadem oszczerstw najpotworniejszych. Nawet chrześcijańskim nie jest „kościół narodowy“, ponieważ kierownicy jego w urzędowym uznaniu wiary nie uznawają wyraźnie Bóstwa Chrystusa Pana, choć tają się z tem przed ludem z obawy, aby sobie nie odstręczać dusz, które w Bóstwo Pana Jezusa jeszcze wierzą.

Z tego wynika, że wyrzeka się wiary rzymsko-katolickiej, kto wstępuje do „kościół narodowy“, naraża się na potępienie, gdyż poza Kościołem niema zbawienia. Ale ganić trzeba i tych, którzy z ciekawości, uczęszczają na zebrania i nabożeństwa „narodowców“ czyli hodurowców, igrają bowiem z niebezpieczeństwem utraty wiary.

Czy to prawda, że u nas wszystko odprawia się po łacinie? Wszakże każde dziecko wie, iż poza mszą św. używa się języka polskiego przy udzielaniu sakramentów św. i wszystkich nabożeństw tak zwanych dodatkowych. Wreszcie za czyje pieniądze kupują duchowni „narodowcy“ kaplice i kościoły?

Z pewnością nie za swoje, tylko za pieniądze zbłąconego ludu, wyłudzone w formie składek miesięcznych od każdej rodziny. Z Chrystusem Panem trzeba tu westchnąć: „Żal mi tego ludu“.

Prośmy najlepszego pasterza Jezusa, aby zbłąkane owieczki, za które przecież drogą swoją krew przelał, jak najwcześniej sprowadził znowu z manowców do swojej owczarni! Amen.

Jak tam ze spowiedzią wielkanocną?

Z niedziela Trójcy Przenajśw. kończy się okres wielkanocnej spowiedzi.

Wobec tego pytamy: Jakże ze spowiedzią wielkanocną? — Czy wszyscy ten obowiązek spełnili?

Spowiedź wielkanocna to dla wielu jedyne prawie wyznanie wiary, znak życia katolickiego, dowód łączności z Kościołem. Kto tego obowiązku nie spełni, wypiera się niejako wiary, życiem katolickim gardzi, związek z Kościołem zrywa.

Więc zastanów się każdy, coś wyszedł z gniazda katolickiego i nie chcesz stanąć pomiędzy odszczepieńcami: Jakżeż tam z tą spowiedzią!

Namyślasz się? Wahasz się? Zastawiasz się innymi sprawami?

Bądź mądry! Zapomnij na chwilę o przesileniach rządowych, o kłótniach partyjnych, o paskudnym dolarze i biednym naszym złotym, o prawdziwych i urojonych kłopotach, a pomyśl o duszy swojej! Wielkanocna spowiedź, to jedyne prawie moment w roku, kiedy to naprawdę wielu poświęca nieco bacznosci swojej duszy. Cóż pomoże, chociażbyś posiadał wszystko na świecie, a tę jedyną duszę utracił!

Ciężko ci spowiadać się? To może właśnie znak, że ci spowiedź bardzo potrzebna. Więc czemprędzej pospiesz do konfesjonau i zwal u jego stóp

ciężar win! Czempredzej! Jutro? Nie, o ile możliwe, jeszcze dzisiaj!

Jaki będziesz szczęśliwy! Spróbuj, przekonaj się.

A na miłość Boską — tylko nie odkładaj!!

Pamiętka po „B alej niedzieli“

Białą niedzielą nazywają w niektórych krajach pierwszą niedzielę po Wielkiejnocy, przeznaczoną na pierwszą Komunię św. dzieci.

Znajduję w pewnym obcym piśmie zapiski młodzieńca ze wspomnieniem tego dnia o tej białej niedzieli. Oto one:

„Nigdy nie zestarzeję się o tyle, bym mógł zapomnieć ów dzień najczystszej radości. Dnia tego położyłem fundament pod całą budowę życia. Chcę być kapłanem! Tak postanowiłem tego dnia! Czy wiedziałem już wtenczas, co znaczy takie postanowienie? Bynajmniej. Ale rozumiała je matka moja. Często, często mawiała mi o zadaniach kapłana. Cieszyła się z moich postanowień, ale zawsze obawiała się o to, czy ich dopełnię. Co do mnie, to myśl ofiary podobała mi się. Pragnąłem być ofiarą. Spełniałem drobne umartwienia. Modliłem się chętnie. Komunikowałem często, co dwa tygodnie; uczyłem się pilnie. Ale były to małe uczynki, nie trudziły mnie zbyt.

Tak minał rok. Zimą zachorowała mi matka. Podczas dwóch tygodni biegłem codzień do miasta do lekarza i apteki, mimo deszczu i śniegu. Nadeszła rocznica pierwszej Komunii św., dzień zimny i ponury na dworze. Zupełnie inny był sam dzień uroczysty przed rokiem! Z jaką radością czekała na mnie matka po uroczystości! Była to najpiękniejsza chwila w jej życiu, kiedy pierwsza mogła spojrzeć w oczy swemu 11-latkowi po Komunii św. Mówiła mi o tem często. A dziś — po roku czekałem ją na nią. Dzisiaj to ja towarzyszyłem jej do kościoła, a stamtąd jeszcze dalej — na cmentarz. Potem wróciłem — ale sam. Matka moja często mówiła mi o duchu ofiary. Teraz dopiero pojąłem, co to znaczy: ofiara. Odjęto mi to, co miałem najlepszego i najpiękniejszego na świecie. Wystawił mnie Chrystus Pan na ciężką próbę w tym roku. Złożyłem swą pierwszą ofiarę. Do nich doszły jeszcze inne. Ale pozostałem wierny swemu postanowieniu. Nie zapomnę nigdy dnia pierwszej Komunii św.“

K. Berkanówna.

Zdrowaś Marja.

Pewien młody rozpustnik, który się wylał na wszelkie występki i zgorzsenia, zapadł w ciężką chorobę, która go postawiła nad grobem. Pomimo życia rozpustnego miał ten młodzieniec zwyczaj codzień odmawiać „Zdrowaś Marja“ na cześć Najśw. Panny, i pomimo największych zbrodni, nie opuszczał nigdy tej modlitwy, choć sam nie wiedział, dlaczego ją mówi. Było to raczej ze zwyczaju, jak z pobożności, lub w nadziei wysłuchania.

Skoro się proboszcz dowiedział, że choroba jest niebezpieczną, przyszedł do niego, i zachęcał go do spowiedzi świętej, lecz on odpowiedział:

„Jeśli umrę z tej choroby, to chcę umrzeć tak, jak żyłem“.

Taką samą odpowiedzią zbywał wszystkich, którzy mu mówili o spowiedzi, i ani proboszcz, ani wikary, ani wielu innych kapłanów i zakonników, ani nikt z rodziny nie mógł z niego innej odpowiedzi wydobyć. Wszyscy

byli przygnębieni niewymownie, i nikt się już nie ważył mówić mu o nawróceniu, aby mu nie dawać okazji do podobnego bluźnierstwa.

Jeden z jego towarzyszy odwiedził go pewnego poranku; mówił to o tem, to o owem, a wreszcie rzekł:

„Przecież powinieneś myśleć o nawróceniu“.

„Mój przyjacielu“, odparł chory na to, „jestem za wielkim grzesznikiem“.

„A więc!“ rzekł tamten, „kiedy jesteś tak wielkim grzesznikiem, udaj się do tej, która jest ucieczką i matką grzeszników“.

„Ach,“ rzekł chory, „ja wprawdzie codzień mówię na Jej cześć: „Zdrowaś Marja“, ale czy sądzisz, że mi to może co pomóc?“

„Jak to, czy ci to może co pomóc? I owszem, bardzo ci pomoże! Czyż jej nie prosił w tej modlitwie, aby się za ciebie modliła, w godzinie śmierci?“

„To prawda“, rzekł chory, „ponieważ tak jest, idź poproś, księdza proboszcza, aby mnie przyszedł wyspowiadać“.

Mówiąc to, zalał się rzewnymi łzami.

„Czemu płaczesz?“ zapytał go przyjaciel.

„Ach,“ odpowiedział chory, „czyż mogę dosyć płakać, skoro wiodł życie tak rozpustne i obrażał Boga tak dobrego, który gotów jest zawsze nam przebaczać? Jabyłem powinien płakać krwawymi łzami, ale krew moja jest zanadto nieczysta, abym ją Bogu mógł ofiarować. Lecz Zbawiciel mój Swoją Krew Mu ofiarował za mnie; w Nim całą moją pokładam nadzieję“.

Przyjaciel jego słysząc tę mowę i widząc łzy wciąż z oczu chorego płynące, nie mógł i swoich powstrzymać. Obaj rzewnie płakali. Tymczasem proboszcz, chcąc się dowiedzieć, o stanie chorego, i jeszcze raz poprobować szczęścia, wszedł w tej chwili, i bardzo się zadziwił, widząc obu młodzieńców rzewnie płaczących. Zapytał więc o przyczynę. A chory rzekł:

„To ja płaczę za moje grzechy. Biada mi! Zapóźno, zapóźno zaczynam oplakiwać me grzechy; ale zasługi Zbawiciela mego są nieskończone, a miłosierdzie Jego jest bez granic — w Nim całą moją nadzieję pokładam“.

„I któż w tobie tak nagle sprawił odmianę? zapytał proboszcz.“

„Najśw. Panna“, odrzekł chory. „To ta moja dobra Matka otworzyła mi oczy, poruszyła serce i nie chce, abym marnie zginął“.

„Więc zapewne chcesz się spowiadać?“ zapytał proboszcz.

„Tak, księże proboszczu; każ tu przyjść wszystkim, aby moja spowiedź była publiczną, tak jak me zgorzsenia były publiczne“.

„Tego nie potrzeba“, rzekł proboszcz, „zgorzsenia dane przez ciebie dostatecznie będą naprawione, kiedy się ludzie dowiedzą, żeś się dobrze wyspowiadał“.

Tymczasem przyjaciel chorego wyszedł i opowiedział całe zajście jego rodziny — a chory uczynił spowiedź, przerywaną łzami i łkaniem. Następnie przyniósł proboszcz Najśw. Wiatyk, a wielka liczba ludzi wszelkiego stanu, dowiedziawszy się o tak znacznym nawróceniu, towarzyszyło mu aż do domu chorego. Proboszcz skorzystawszy z tej sposobności, przemówił do obecnych w tak rzewny sposób o dobroci i potędze Najśw. Panny, że wszystkich do łez pobudził. A gdy chory ze swej strony począł mówić, wyrażając uczucia miłości, wdzięczności i ufności, któremi serce jego było przepelnione, gdy począł prosić o przebaczenie za swe zgorzsenia i błagał o modlitwy, całe zgromadzenie wybuchło głośnym płaczem — i wielu z obecnych szczerze się nawróciło.

Wieczór, gdy chory uczył, że choroba się wzmacnia, prosił o udzielenie mu ostatniego namaszczenia, które przyjął z niemniejszą pobożnością, niż Najśw. Sakrament Ołtarza. O północy zaczął konać — a w godzinę potem umarł.

Udział ludności w obrzędzie pogrzebowym tak był wielki, że kościół parafialny nie mógł pomieścić przybyłych. Pogrzeb jego nie był obchodem żałobnym — ale raczej tryumfalnym Najśw. Panny, której potęgę i miłosierdzie każdy wysławiał.

Bohater.

Była Wielka Sobota.

Wiosenne słońce ogrzewało ziemię ciepłymi promieniami. Ponad szeroką przestrzenią wstających z snu zimowego pól, rdzawych jeszcze łąk i bezlistnych lasów, zawisnął kędys w górze na złotym promyku słonecznym niewidzialny skowronek i rozdzwaniał ziemi swą pieśń, podobną do srebrzystego brzęczenia dzwonek kościelnych, pełną radości i wesela. Przez wieś szedł łagodny wietrzyk, o miłym ciepłym oddechu, jakby oglądając wszystko po drodze, po długiej zimowej niebytności. To krzaczek pogładził suchy, aż z radości poruszyły się czarne piszczelę gałązek, to gwarzył znów z drobiem na podwórkach chłopskich, aż one małe stworzonka skrzydełka swe rozpinały i potrzepawszy niemi w górze, raźniej dookoła rozglądać się zaczynały.

Chaty wiejskie patrzyły się w idącą wiosnę otwartymi również drzwiami i oknami. Po chatkach gospodynie kończyły porządki świąteczne, coraz to spoglądając na zaścielony stół białym obrusem, na którym paski, babki wielkanocne, mięsivo i pisanki pyszniły się swoimi strojami. Na drodze, biegnącej przez wieś, szczebiotały wesoło czysto ubrane dzieciaki, coraz to dokazując między sobą, nie zapominając jednak przy tym na żółtawą drogę spoglądać, czy aby, jak co rok, biały ksiądz nie nadjedzie do święcenia ciast.

Przed budynkiem gminnym zebrało się sporo wieśniaków. Na frontowej ścianie drewnianego domku wielki afisz czerwony, z jeszcze bardziej u góry czerwona gwiazda, krzychał do patrzących dużemi czarnemi literami w języku rosyjskim i polskim, że w Wielką Niedzielę, na samo Zmartwychwstanie, odbędzie się w powiatowym mieście wielki wiec na rynku. Przemawiać będzie przybyły specjalnie w tym celu delegat z Moskwy.

Wieśniacy, założywszy ręce w tył, niektórzy ćmiąc machorkę, w postaci grubo skreconego papierosa, debatowali z ożywieniem nad treścią afisza.

— Nie może być inaczej, tylko zrobili ten wiec w same święta, aby kpić swoim zwyczajem z Pana Boga — mówi siwy jak gołąb starzec.

— Prawdę mówicie, dziadku, — ozwał się barzysty wieśniak, o płowych zawieszonych wąsach. — Ale nic nie poradzą. Tyle lat już ta bolszewia trwa, a jednak ksiądz do nas rok w rok zjeżdża święcić.

— Zjeżdża, toć zjeżdża. Ale nie wiesz to, że dziedzie z Czarnego Stawu przepłaca samego komisarza w mieście? Niby to on nic nie wie, ale za każdym razem wejdzie mu sporo grosza w kieszeń. A podobno innych pieniędzy nie bierze tylko dolary.

— I cóż tu się dziwić? Wiadomo: ręka rękę myje. Tak gwarzyli wieśniacy w Prętniku, wiosce, leżącej nad granicą polską, po stronie bolszewickiej, przedzielonej od Polski dużemi granicznymi lasami.

Słońce zaczęło już chylić się ku zachodowi, a ksiądz jeszcze widać nie było.

— Może coś wypadło dobrodziejowi i spóźnił się.

Aliści ledwie któryś z wieśniaków wymówił te słowa, na początku wsi rozległy się uderzenia kopyt końskich o bruk drogi i do wsi wpadło galopem kilku kozaków. Dzieci, bawiący się na drodze, z wrzaskiem skryły się po domach, a zebrani przed budynkiem gminnym wieśniacy rozstąpili się na dwie strony drogi.

Kozacy wstrzymali konie. Zeskoczyli na ziemię, jeden zaś z nich odezwał się po rosyjsku:

— Ha, polaczki, na swojego popa czekacie. Tego goda z popa nic nie będzie.

Dowódca patrolu kozackiego pomówił coś z sołtysiem, ten zaś pokręcił głową, wystąpił przed zebranych i oświadczył:

— Ksiądz święcić tego roku nie przyjedzie. Zakazano. Niema co czekać.

Wieśniacy w zdumieniu spojrzeli po sobie. Nie było jednak co mówić, ani się dopytywać. Drwiące spojrzenia kozaków mówiły więcej niż powiedział sołtys. Każdy był przekonany, że skoro tylko odezwałby się słowem, zostanie aresztowany. Ze spuszczonei głowami porozchodzili się do domów.

W mieszkaniu Wojciecha Więcka siedziało kilka osób. Sami mężczyźni.

— Nie sposób nie mieć święconego — odezwał się jeden.

— Ba, nie sposób. A toć po wsi chodzą gadki, że ksiądz zostanie w mieście wsadzony do więzienia i dlatego nie przyjechał.

— Może i prawda. Po nich można wszystkiego się spodziewać. Swojej religii nie uszanowali, a co tu mówić o naszej katolickiej. Dla nich niema Boga na świecie.

— Mało to księży pomordowali w swoich czerezwyczajkach? I nawet nic im nikt nie może zrobić. O prałata Budkiewicza i zagranica się starała, aby go uwolnić i nic z tego.

— Hale, moiściewy, — rzeknie gospodarz domu, ów wasał, co tu na drodze mówił, że bolszewicy nic nie poradzą, — musimy mieć święcone. Przecie i u spowiedzi wielu z naszych nie było.

— Co robić. Głową muru nie przebijesz.

Nikt na to nic nie rzekł, bo i co tu gadać. Siłę bolszewicy mają to ich zduszą.

Wasał przeszedł się po izbie parę razy tam i z powrotem, głowę na dół opuszczył, jakby coś w myślach ważył, nagle stanął przed zebranymi, pochylał się nieco i rzekł cicho:

— A ja wam mówię, że święcone będzie. Nie róbcie tylko krzyku ni hałasu. Znieście wszystkiego po trochę tu do mojego mieszkania i rozejdźcie się do siebie, a ja wam powiadam, że święcone jutro będziemy mieli.

Popatrzyli na niego, jakby go podejrzywali, że ma w głowie nie wszystko w porządku. Ale że go znali, jako rzetelnego gospodarza, to i nie pytali więcej, tylko poczęli się żegnać na odchodne.

— A znoście jak się całkiem ściemni, żeby kozacy nie zobaczyli — rzucił jeszcze za wychodzącymi.

KUPON 67.

ważny do ubiegania się o nagrodę za dobre rozwiązanie zagadek.

Imię i nazwisko

Miejsce zamieszkania

Ulica nr.

